Nr. 1. — 12 We Lwowie, styczeń, 1923. Rok XLIV.

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Kalendarz łowiecki **W styczniu wolno polować** na wszelką zwierzynę łowną, prócz jeleni, kuropatw i bażantów.

Do członków! Wkładka członkoska M. T. Ł. na 1-szy kwartał r. 1923 wynosi 5.000 Mkp. Płatna w ciągu stycznia.

Cena pojedynczego egzemplarza 800 Mk. — Prenumerata na 1 kwartał r. 1923 — 2.000 Mk.
Ceny ogłoszeń: cała strona 100.000 Mk, 1/2 str. 50.000 Mk, 1/4 str. 25.000 Mk. 1/8 str. 12.500 Mk, 1/16 str. 7.000 Mk, 1/32 str. 4.000 Mk. Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50% drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Lindego l. 9. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Adres telegramów: „Łowiec", Lindego 9. — P. K. O. Konto Nr. 145.839.

Na Rok Nowy

czterdziesty czwarty naszego istnienia przesyłamy Członkom naszym i Prenumeratorom serdeczne Szczęść Boże! Żywe Ich zainteresowanie się sprawami łowiectwa krajowego, żywy i ciągły kontakt, jaki utrzymujemy z Nimi, wreszcie ofiarność, jakiej dla spraw naszych w r. z. dali dowody, napełniają nas otuchą, że mimo coraz to trudniejszych warunków bytu, przetrwamy ostatnie już, da Bóg, dnie przesilenia w odradzającej się Ojczyźnie i pracy bardzo owocnej naszej przerywać nie będziemy zmuszeni.

Wydawnictwo Łowca, które staramy się coraz to rozszerzać i upiększać, a które wraca już na swe dawne poważne względem treści stanowisko, dalej wzrastające ciągle wydatki administracyjne i przewidywana dość znaczna do Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń łowieckich wkładka, wymagają coraz to większych nakładów pieniężnych. Wobec tych to więc kosztów Wydział Towarzystwa widział się zmuszonym powiększyć w stosunku do nich wkładkę na rok bieżący.

Wierzymy jednak, że wkładka ta spłacana kwartalnie nikogo nie przerazi, że nikogo z dotychczasowych Członków do dalszej współpracy z nami nie braknie i że dalsze utrzymanie M. T. łow. i Łowca będzie punktem ambicji i honoru naszego łowieckiego zespołu.

Owszem, żywimy uzasadnioną ciągłem przystępowaniem do nas nowych członków nadzieję, że zespół ten z nowym rokiem znacznie się powiększy.

Kto kocha nasze łowiectwo, kto dumny z jego wspaniałego bogactwa i wielkiej przeszłości, ten stanie z nami do dalszej współpracy. „Szczęść Boże“ w niej nam wszystkim!

ALBERT MNISZEK.

Ze sztućcem w dłoni.

Nauka jazdy konnej i nauka strzelania mają ze sobą kilka cech wspólnych. Jak nauczyć się jeździć konno można tylko w siodle, tak nauczyć się strzelać można tylko z bronią w ręku i to polując. Tu i tam zaczynać trzeba od praktyki a wiadomości przez nią nabyte uzupełnić i wydoskonalić dopiero teorją. Do obu tych umiejętności trzeba mieć wrodzone zdolności, tych bowiem, później ani praktyką ani tem mniej teorją, nikt nie nabędzie w potrzebnej mierze, by mógł być dobrym jeźdzcem, lub dobrym strzelcem. Teorja jest jednak zawsze szkieletem, na którym się dana umiejętność układa i form nabiera konkretnych na drodze do udoskonalenia.

Nauka strzelania myśliwskiego, jeżeli też do niej włączymy i znawstwo broni myśliwskiej, jest bezwątpienia gałęzią wiedzy ludzkiej, opartą na pewnych niewzruszonych prawach fizycznych, opartą więc na teorji, którą znać powinien, choćby pobieżnie, każdy szanujący się strzelec-myśliwy. Godnem jest tembardziej zawarcie z nią bliższych znajomości, jeżeli chodzi o strzelanie kulami.

O teorji strzelania jako takiej, a więc o balistyce i fizyce broni pisać tu jednak nie zamierzam. Zabrałoby to za wiele miejsca w Łowcu, w którym zresztą często już na ten temat pisano. Interesowanych odsyłam do podręczników wojskowych, tudzież do znakomitej pracy p. inż. Kubińskiego p. t. Fizyka strzelca, drukowanej w zeszłym roku w naszem piśmie, jeszcze niedokończonej, która jednak w najbliższych numerach Łowca ujrzy swój ciąg dalszy.

Cel mego dzisiejszego artykułu jest o wiele skromniejszy, nie mniej jednak doniosły, chciałbym bowiem poddać krytyce niektóre pojęcia naszych myśliwych, o zdolnościach balistycznych, używanej przez nich broni kulowej, jej budowie i wytrzymałości.

Pomówmy najpierw o samej broni kulowej, jak powinna być zbudowana, by przedstawiała dla strzelającego zupełne bezpieczeństwo i dawała gwarancję użyteczności na czas dłuższy. Temat to bardzo ważny w dobie dzisiejszej, kiedy pracowni rusznikarskich u nas prawie, że jeszcze nie ma, gdy broń na niewidziane sprowadza się z zagranicy a najczęściej kupuje się ją z drugiej ręki od rozmaitych przygodnych handlarzy. Uwzględniam tu tylko broń nowoczesną zastosowaną do prochu bezdymnego i kul płaszczowych, gdyż tak zwane expresy strzelające prochem dymnym są dzisiaj bronią przestarzałą, stojącą pod każdym względem niżej od broni nowoczesnej, są jednak bronią dobrą zawsze w kniei na bliższą metę i są zawsze lepsze i o wiele pewniejsze, choć stare, od broni nowoczesnej źle zbudowanej i niewiadomego pochodzenia.

Broń kulowa rozpada się na dwa rodzaje: magazynki czyli repetjery, i broń łamaną. Oba te rodzaje broni muszą być silnie zbudowane, by przedstawiać mogły bezpieczeństwo i zapewniać dłuższą użyteczność.

Magazynka czy to oryginalna myśliwska, jak Schönauer-Mannlicher, Mauser, etc. czy to przeróbka z karabinu wojskowego, jest bezwzględnie bronią najwięcej praktyczną w naszych warunkach, dzięki swemu sposobowi zamknięcia i zaryglowania ma wielką wytrzymałość, wszelkie zalety balistyczne, jest tania, lekka i zapewnia zupełne bezpieczeństwo, służy doskonale tak w polowaniach kniejowych, jak i na podchodnego w strzelaniach na dalszą metę. Zdolność szybkiego repetowania przyswoić sobie łatwo, a wtedy myśliwy ma w ręku 5-cio względnie 6-cio strzałową broń, pod względem balistycznym najlepszym sztućcom podwójnym, w niczem nie ustępującą. Każdemu myśliwemu, który nie chce, lub nie może wydać znacznych pieniędzy na stuciec podwójny, radzę zaopatrzyć się w magazynkę, gdyż ta, choćby to była, tylko z karabinu wojskowego przeróbka, o wiele wyżej stoi pod względem bezpieczeństwa i balistycznych właściwości, aniżeli tani, lichy, niewiadomego pochodzenia, lub z podrzędnej firmy pochodzący stuciec łamany.

Kulowa broń łamana, jako osłabiona właściwością, której swą nazwę zawdzięcza, wymaga przedewszystkiem silnej konstrukcji, a więc, pierwszorzędnej jakości materjału stalowego, silnie zbudowanej baskili i silnego zamknięcia. Broń taka, mająca dać rękojmię bezpieczeństwa, trwałości, i dobrego efektu strzałowego, a więc broń o naboju prochu, potrzebnym do dania pociskowi należnej żywej siły, by grubego zwierza możliwie szybko powalił, musi

być ciężką. Waga takiej broni, bez względu na kaliber niepowinna schodzić niżej 3½ kg. (drylinga 16×16:3·30kg.)

Uczciwa firma rusznikarska lżejszego stućca lub trójlófka nie sprzeda. Przed taką bronią wszystkich najusilniej przestrzegam!

Lżejsze stućce podwójne lub trzylufki są albo bronią o słabym naboju prochu, albo nietrwałe i wprost niebezpieczne. Broń o słabym naboju daje myśliwemu wiele rozczarowań i zawodów, broń o za silnym naboju naraża go na kalectwo, a w każdym razie niedługo będzie się on nią cieszył, gdyż od pierwszych niemal strzałów rozpoczyna się w niej proces rozlutowywania się luf, a nie znający się na sprawie dziwi się, dlaczego chybia, aż z jeszcze większem zdziwieniem przykonowuje się, że stuciec stracił swą celność. Jeżeli sztuciec jest dobrze zbudowany i dobrze zrównoważony, waga jego nie daje się odczuwać nawet przy dłuższem trzymaniu go w pogotowiu, a przy poprawnem złożeniu się, leży silnie i spokojnie w rękach. Sztuciec taki powinien posiadać swój środek ciężkości w miejscu oddalonem o 1 do 2 centim. (zależnie od budowy łoża) od połowy swej długości w kierunku do oka, jeżeli więc n. p. cały stuciec posiada długość 1·2 m. to środek jego ciężkości powinien znajdować się o 52 do 53 cm, od wylotu luf. Jeżeli punkt ciężkości jest przy stućcu w połowie jego długości, lub poza tą połowę ku muszce, sztuciec jest źle zrównoważony, lufy ciężą, a błąd ten ten daje się odczuwać ujemnie w ciężarze i składności broni.

Szyna w broni łamanej jest nieodzowną koniecznością, jest bowiem środkiem połączenia dwóch luf, jest wreszcie podstawą dla umieszczenia muszki i celownika. Przy stućcu magazynowym szyna jest rzeczą zupełnie zbędną, jest balastem obciążającym broń, a jako nalutowana jest obcem ciałem działającem ujemnie na wibrację lufy, co przy użyciu lunety w rozrzucie kul na tarczy odrazu widzieć się daje. Jeżeli chodzi o obciążenie za lekkiego dla kogoś sztućca, lub konieczność mierzenia po szynie bez celownika, to sztuciec magazynowy ze szyną urodzić się z nią już powinien, to znaczy, że lufa wraz z szyną ulaną z jednego kawałka stali być powinna.

Tu zbliżam się do dość drażliwego tematu w mojej tej rozprawie. Strzelanie ze stućca po szynie bez celownika pochodzi z mniemania, które podziela wielu naszych najlepszych myśliwych, że do ruchomych celów, celownik strzelanie utrudnia. Jestto mniemanie błędne.

Celownik jest ułatwieniem w strzelaniu a nie przeszkodą. Sposób strzelania ze stućca po szynie u nas tak ogólnie praktykowany da się chyba usprawiedliwić prawem atawizmu, dziedziczności po poprzedzających nas pokoleniach myśliwych, pochodzący z czasów, w których u nas nikt prawie gwintowanej broni nie posiadał, a myśliwy strzelał cały rok do wszystkiego, w lecie do przepiórki i kszyka, w zimie do dzika i niedźwiedzia z jednej strzelby. Jeżeli sztuciec jest odpowiednio do budowy strzelca uformowany i tworzy z nim, jak koń z jeźdźcem jedną całość, jeżeli celownik jest odpowiednio urządzony, tak że muszka w jego wycięciu swobodnie przy złożeniu siedzi, wtedy strzelanie przez celownik jest łatwe i jedynie racjonalne do najszybciej nawet poruszającego się przedmiotu. Na bliską metę brak celownika nie czyni jeszcze wielkiej różnicy, ale na dalszą, a sposobność do dalekiego strzału zdarzyć się łatwo i na polowaniu nagonkowem może, myśliwy strzelający po szynie daleko trudniejsze ma zadanie, bo niepotrzebnie sam sobie je utrudnia. Strzela na chybi, trafi, lub celownik podnosi, a nieumiejąc przezeń celować, na pewno spudłuje. Dobry strzelec przy użyciu celownika, jest zawsze panem wysłanej przez siebie kuli, i zawsze wie dokładnie, gdzie ją umieścił. Mając on do czynienia z pomykającym n. p. przez linię dzikiem, nie mierzy w dzika, lecz w to miejsce w jego korpusie, które chce trafić, do tego celownik jest warunkiem nieodzownym dobrego rezultatu. Słaby strzelec kulowy natomiast celuje w dzika a zwykle pod dzika, chcąc go widzieć całego, nie nakrytego lufą i dlatego dobry strzelec, gdy dzika chybia, to go góruje, słaby strzelec zaś go prawie zawsze dołuje. Gdyby słaby strzelec mierzył przez celownik, często uniknąłby pudła, gdyż celownik poprawia dokładnie błędy w celowaniu. Celownik więc jest czynnikiem ułatwiającym strzelanie słabemu strzelcowi, a u dobrego strzelca podnosi dokładność w celowaniu do najwyższych granic doskonałości. Strzelanie kulami po szynie jest wyłącznie specjalnością naszych myśliwych. Rusznikarz zagraniczny szeroko otwiera usta ze zdziwienia. jeżeli go spotyka zamówienie na ostrzelany po szynie sztuciec i nie wie co ma z tym fantem uczynić. Znam wielu znakomitych strzelców tylko tak kulami strzelających. Jest to rzeczą przyzwyczajenia i zupełnie nie pragnę im z tego tytułu czynić zarzutu, ani nie śmiałbym ich krytykować, zwracam się jednak do młodych, wchodzących w pole myśliwych, by uczyli się wyłącznie strzelać ze stućców o stałych celownikach, choćby tylko w imię słuszności francuskiego przysłowia: „le mieux est l'ennemi du bien", nie mówiąc już o wielkiem zadowoleniu, jakie daje zawsze rzecz wykonana jaknajlepiej, poprawnie według klasycznych reguł i prawideł.

I w imię słuszności tegoż przysłowia poruszę tu jeszcze jedną sprawę, a mianowicie pomówię o sposobie składania się, któremu wielu naszych myśliwych hołduje. Na jednem z ostatnich naszych strzelań popisowych zauważył ze zdziwieniem pewien na nasz Zjazd przybyły gość z poza Małopolski, ze prawie wszyscy, najlepiej nawet strzelający, niepoprawnie się składają. Zarzut zupełnie słuszny. Broń przykłada się a raczej zbliża się do twarzy, nie twarz do broni, gdyż broń ma być przystosowaną do budowy strzelca, a nie strzelec ma się przystosować do formy broni. Lewa ręka nie powinna znajdywać się pod baskilą na bączku oparta lecz wyciągnięta tak naprzód, by dłoń jej podpierać mogła lufę w środkowym punkcie jej ciężkości. Ma to pierwszorzędne znaczenie przy nowoczesnych sztućcach, gdyż ciężkie lufy znajdują oparcie i nie ciężą na dół, a i ręka umieszczona na przodzie lufy cieszy się większem bezpieczeństwem w razie wypadku, gdyż rozerwanie broni ma prawie zawsze miejsce w gnieździe nabojowem lub baskili.

Ze sposobem składania się związaną jest ściśle sprawa przykładu t. j. długości łoża. Wadliwe składanie się szuka krótkiego przykładu, gdy tymczasem klasowe strzelanie potrzebuje przykładu długiego. W strzelaniach rekordowych, n. p. do gołębi, gdzie strzelają najlepsi światowi strzelcy, biorą udział li strzelby o niemożliwie, zdawałoby się długich przykładach. Anglicy twierdzą, że niema za długiego przykładu, może być tylko za krótki. Rzecz naturalna, że we wszystkiem są pewne granice, jednak jest wiele słuszności w tem powiedzeniu. Technikę wszelką doprowadzili oni do doskonałości a mając sposobność do masowego strzelania i w tym sporcie są najwięcej miarodajnymi

czynnikami. Broń z długim przykładem przy poprawnym sposobie składanie się, sama odrazu cel wskazuje, przy krótkim trzeba tego celu szukać, gdyż strzelec musi czynić pewne ruchy głową i szyją, by oko na linji szyny się znalazło. Normalna długość łoża wynosi w Anglii 36 cm. poniżej tej miary się prawie nigdy nie schodzi, a przekracza się ją zwykle znacznie. A przecież myśliwi tamtejsi mają olbrzymią praktykę w strzelaniu, ubijając nie raz więcej w ciągu roku zwierzyny, aniżeli wielu z nas przez całe życie i wybrali ze sposobów wykonywania swej sztuki z pewnością najlepszy. Trudno, naturalnie bardzo przyzwyczajać się do długiego przykładu, gdy się lat wiele z krótkiego strzelało, młodzież nasza jednak uczyć się strzelać powinna tylko jak z najdłuższego przykładu.

Jeszcze wspomnieć tu muszę o powszechnie dotąd praktykowanym sposobie strzelania z zamknięciem lewego oka. Wychodzi on coraz więcej z użycia. W Ameryce i w Anglii uczą już rekruta mierzenia obu oczami, gdyż przekonano się, że otwarte lewe oko nietylko, że nie przeszkadza, lecz przeciwnie pomaga w celowaniu, uwypuklając lepiej cel, celownik i muszkę, co ma szczególniejsze znaczenie, gdy strzela się o zmroku. Przyzwyczaić się do celowania takiego bardzo łatwo. Wystarczy kilkakrotne ćwiczenie w celowaniu choćby w pokoju. Celować należy najpierw prawem tylko okiem, następnie otwierać lewe i przyzwyczajać je do współdziałania Z początku muszka będzie się dwoić, lecz przy dalszem ćwiczeniu drugi jej obraz po prawej stronie lufy się znajdujący niknąć zacznie i strzelec ze zdziwieniem się przekona, jak łatwo przyjdzie mu strzelać przy wyzyskaniu pełnej siły wzroku, jaką rozporządza. A korzyść tego tak widoczna i tak uzasadniona logicznie, że chyba dyskusji nie wymaga.

Słów tych kilka rzuciłem na papier, aby li tylko powtarzam raz jeszcze, zwrócić uwagę młodych myśliwych, na poprawny, klasyczny sposób wykonywania sztuki strzelania. Z dobrego należy wziąć najlepsze z korzyścią dla siebie i dla tej sztuki. W każdej dziedzinie i przejawie życia obowiązuje pewna teorja, która uzupełnia praktykę, w każdej czynności ludzkiej a więc i w sporcie panować powinien dobry styl, poprawna forma, pewien wykwint w jego wykonywaniu. Linia myśliwych w lesie może być w swoim rodzaju też salonem, w którym klasowa broń w ręku i poprawny sposób strzelania ma podobną wartość, co w sali balowej dobrze skrojony frak i wykwintny sposób rozmowy lub tańca. O tem pamiętać powinien wchodzący w pole młody myśliwy.

I jeszcze do niego słów kilka: Bronioznawstwo leży u nas zupełnym niemal odłogiem, a jest ono jedną z najgłówniejszych gałęzi wiedzy łowieckiej, umiejętnością dla myśliwego tak potrzebną, jak i umiejętność strzelania, znawstwo fauny rodzimej i znajomość wszelkich arkanów sztuki myśliwskiej.

Niech nasi młodzi myśliwi starają się posiąść znajomość broni myśliwskiej, niech się starają dowiedzieć, co ona warta i do czego zdolna, jak jej używać należy, poznać jej wady i zalety, umieć zmniejszać pierwsze, a podnieść i wyzyskać drugie, a umiejętność ta, dając im wielkie zadowolenie, chronić ich będzie od wielu zawodów i przykrych niespodzianek.

C. C. G.

Z Rykowiska.

Nie miałem zamiaru rozpisywać się o tegorocznem rykowisku w obawie, aby mój kolega w prezydjum opiekujący się wydawnictwem Łowca nie był narażony na odruch zniecierpliwienia, mając dla każdego numeru jakąś moją bazgraninę — pozatem niepowodzenie nie skłania do wynurzeń. — Gdy jednak okazał się już jeden numer Łowca bez korespodencji podpisanej C. C. G., gdy nie widzę nic w tece redakcyjnej o tegorocznem rykowisku, muszę o niem głos zabrać, gdyż jako curiosum warte jest wzmianki, choćby dla późniejszego zestawienia sobie szeregu rykowisk lat ostatnich i przebiegu ich w zależności od aury, od stanu wilków, przebytej zimy i ciągle jeszcze wpływ mającego uszkodzenia wojennego.

Z prawdziwem zainteresowaniem przeczytałem artykuł „Z Mizunia“ p. Jana Marcinkowa w ostatnim numerze Łowca. I rację przyznać muszę autorowi, że rykowiska się zmieniły — czy to chwilowa tylko zmiana spowodowana zmniejszaniem się stanu liczbowego jeleni i przepłaszaniem ich przez większą niż przed wojną ilość wilków, czy też zmiana. że się trochę śmiało wyrażę ich ustroju psychycznego szeregiem lat niepokoju w górach wywołana — trudno na razie osądzić. Czy powrócą dawne rykowiska, przyszłość okaże — na razie są gorsze, o wiele gorsze, a z tych tegoroczne do najgorszych chyba zaliczyć można.

Tegoroczne rykowisko obserwowałem w całości, przyjechawszy w góry jak zwykle przed 15-tym września a bawiąc do pierwszych dni października. Przez cały ten czas miałem tylko trzy dnie pogodne a i z tych dwa bezpośrednio po silnych opadach śnieżnych i nie noszące cech ustalonej pogody. Należy więc przypuszczać, że właśnie niepogoda, słota, wichry, zamiecie śnieżne, mróz i odwilż wszystko to naprzemian, wywołały ten specjalny tegoroczny brak rykowiska. Można tu śmiało mówić o „braku“; do końca września nie zauważyłem, aby łanie objawiały popęd płciowy — kupała były nie rozbite — nie spotkałem nigdzie obciorów i nigdzie nie zalatywała tak charakterystyczna woń jelenia. Jednem słowem świat jeleni wyglądał, jakby to był miesiąc sierpień. W ostatnich dniach września zauważyłem słabo wyżej podane objawy i z rzadka odzywały się głosy jelenie, lecz tak, że mowy nie było o jakiemkolwiek wykorzystaniu tego dla celów łowieckich. Pewien dany jeleń, o którym wiem, że się w tej a w tej okolicy trzyma, odezwał się pewnego dnia dwa razy — na dzień już milczał, za to mruknął raz, drugi na drugiej górze.... były to pierwsze próby, jakie bywają normalnie w pierwszych dniach września a jakich zwykle myśliwi aż po 20-tym w góry zjeżdżający nie przeżywają. Na to nastała jednak nowa serja wzmocnionych deszczów i wichrów, tak że zwątpliwszy o tegorocznem rykowisku, opuściłem swój rewir. — Pokazało się jednak później, że zwątpiłem za wcześnie — między 8-mym a 15-tym października odzywały się znowu jelenie — słabo, ale odzywały się przecież, tak, że straż moja podchodziła wszystkie znajome mi mego rewiru byki, na ich stałych miejscach pobytu. — Ja po raz drugi wróciłem bez złomka jedliny, lecz o to mniejsza — przykrzejsze, że nie przeżyłem tego,

po co łowiec w Karpaty podąża... niezapomnianych rykowiska wrażeń... koncertu nad koncertami..

Z relacji wiem, że wszędzie było podobnie — w Perehińsku nie padł żaden jeleń, w Wełdzirzu ubito trzy, w Jasieniu jednego. Rykowiska nie było w tym roku! Względnie może miejscami odbywało się ono w pojedyńczych urwanych jedno, czy dwudniowych okresach, zależnie od wysokości danego rewiru, lub osłonięcia go przed wichrami i odbyło się bardzo późno i bardzo krótko, na tyle tylko, aby prawu natury stało się zadosyć.

Oczywiście, że i wilki wpływ tu wywierają — może nie na tysiące, ale na setki na pewno liczyć je trzeba i jeżeli radykalnie nie ogłosimy przeciw nim krucjaty, to i w roku przyszłym narzekać będziemy na rykowisko i brak jeleni, choćby i zima była łagodniejszą i przyszły wrzesień pogodny. Na szczęście mamy już żelaza we Lwowie — korzystajmy więc z nich wszyscy w jaknajszerszej mierze!

W obronie dzika.

Tak w ustawie łowieckiej, jak u większości społeczeństwa panuje przekonanie, że dzik jest zwierzęciem nie przynoszącem żadnego pożytku, a jedynie tylko szkodzi. Tymczasem tak nie jest. Szkody zrządzone przez dziki rzucają się każdemu w oczy, pożyteczność ich zaś trudno jest stwierdzić — i stądto pochodzi niesłuszne przekonanie, że dziki, to zwierzyna szkodliwa.

Nie przeczę bynajmniej, że zrządzają one dotkliwe szkody w polach, wiem o tem z własnego doświadczenia. Nie dalej, jak dziś przedłożył mi nadleśniczy wykaz szkód zrządzonych włościanom przez dziki w zeszłym kwartale— odszkodowanie wynosiło około 700.000 mkp. Szkody te jednak nagradzają dziki sowicie, zjadając niezliczone ilości chrabąszczy, ich pędraków i poczwarek różnych szkodników leśnych. Nie zapominajmy, że w Niemczech tępiono wróbla dla szkód w polach, a potem musiano go za pieniądze sprowadzać, tak rozmnożyły się szkodliwe owady.

Oby nie było tak u nas z dzikami, bo skądbyśmy je sprowadzili? Zabiłem raz w maju na podjeździe na rogacze wycinka, a chcąc się przekonać, czy dziki istotnie niszczą chrabąszcze, kazałem mu przy patroszeniu otworzyć żołądek. Znajdowało się w nim około 2 litrów chrabąszczy. Proszę zajrzeć do pierwszej lepszej entomologji i przekonać się, ile miljonów pędraków byłoby się wylęgło ze zjedzonych przez j e d n e g o dzika chrabąszczy, proszę sobie uprzytomnić, jak straszne szkody zrządzają pędraki w kulturach — potem proszę stwierdzić, że dzik jest jedynie szkodnikiem, zasługującym na wytępienie.

Przykład drugi. Na podpalone podczas wojny i wskutku tego chorzejące drzewostany sosnowe w lasach rudnickich rzuciły się w olbrzymiej ilości szkodliwe owady, mianowicie zaś trąd sosnowiec, (Lophyrus Pini). Przyjechawszy w r. 1915 na urlop i objeżdżając lasy z nadleśniczym, zauważyłem drzewostan tak przez tego szkodnika napadnięty, że mimo iż był on dopiero 40-letni, przeznaczyłem go na wyrąbanie w roku następnym — zdawało się bowiem, że nie ma dla niego ratunku. Atoli podczas następnego urlopu zauważyłem, że w drzewostanie tym ziemia jest tak zryta przez dziki, że niema prawie cala nie naruszonego — wiadomo zaś, że poczwarka trądu żyje w opadniętych liściach i igliwiu. Zaciekawiony, co z tego będzie, zakazałem rąbać ten drzewostan. I cóż się ukazało? Oto w roku następnym szkody w nim zmniejszyły się znacznie, a jakkolwiek pewną ilość drzew silniej napadniętych trzeba było usunąć, to jednak drzewostan, jako taki został uratowany. Inne, podobnie napadnięte drzewostany, lecz oddalone od dziczych miotów, gdzie zatem dziki nie zachodziły żerować, zmuszony byłem wyrąbać. Nic zatem innego, tylko dziki uratowały ten drzewostan, zjadając poczwarki trądu, a że ma on około 100 morgów, oddały mi zatem nieocenioną usługę. Prawdziwość tego faktu potwierdzić może Pan Radca leśnictwa Antoni Ilgner, Okręgowy Inspektor leśny w Rzeszowie, zauważył go bowiem podczas swych częstych lustracji lasów rudnickich.

Jeżeli już do tegośmy doszli, że zapatrujemy się na zwierzynę jedynie z punktu widzenia zrządzonych przez nią szkód, to bezprzecznie szkodliwszym od dzika jest jeleń. Któryż z czytelników „Łowca“ nie widział ziemniaków rozoranych rogami jeleni? Żaden dzik nie powstydziłby się tak dokładnie wykonanej roboty. A jeleń nie wynagradza szkód w polach przysługami oddawanemi leśnictwu— przeciwnie, w kulturach i młodnikach wyrządza fantastyczne wprost szkody. A przecież żadnemu z myśliwych nie przyjdzie na myśl wołać z tego powodu o wytępienie tego króla naszych lasów. Ustawa łowiecka zaś uznaje jelenie za zwierzynę pożyteczną i przeznacza dla nich słusznie czas ochronny. Pożyteczniejszego zaś od nich dzika traktuje po macoszemu, skazując go na zagładę.

Lecz czyż tylko ze stanowiska szkodliwości mamy my, myśliwi, oceniać zwierzynę? Czy i te nieopisane drgnienia całego jestestwa, tę niewysłowioną symfonję, którą gra każda żyłka, każdy nerw myśliwego na łowach na grubego zwierza, mierzyć będziemy łokciem i szalą? Czy dla szkody pieniężnej dopuścimy do wytępienia j e d y n e g o już dzisiaj zwierza, w spotkaniu z którym pozostało to, co było głównym urokiem łowów dawnych — możliwość prawdziwej walki, pytanie „czy ty, czy ja“?

A jakże się pod tym względem dzieje? Znałem „myśliwych“ — przebacz święty Hubercie, że ich tą nazwą mianuję — którzy się chwalili, że zabili jedną kulą 7 dzików, strzelając do prośnej maciory!

Znałem także prawdziwych myśliwych, którzy zapatrywali się na dziki ze stanowiska miłośników łowiectwa— cóż z tego, kiedy właściciel sąsiedniego majątku, nie myśliwy, kazał u siebie tępić dziki. Leśniczy więc co dnia, jak zapisał, puszczał samopas psy dzikarze w las, a gdy głos z miejsca dał znać, że ostanowiły dzika, przerywał zajęcie, by dojść do psów i strzelić.

Jakież będą skutki takiego postępowania? Oto, że za lat kilka, miast polować na grubego zwierza, będziemy chyba strzelać skowronki ze zwierciadłem, jak we Włoszech, albo gołębie puszczane z klatki.

Hieronim Tarnowski.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI.

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920.

Nadchodziła długa, śnieżna i mroźna zima 1880/1 r. Po kilku niefortunnych wyprawach z przynętą na wilka, zaniechałem na czas jakiś tych łowów, a gdy w lutym spadły nowe śniegi i ustaliła się mroźna pogoda, a zwierz zbliżał się do ludzkich osad co raz więcej i śmielej, postanowiłem raz jeszcze spróbować szczęścia. Z wczesnego ranka kazałem leśnikowi obciągnąć bliższą i dalszą knieję drogi świeżem mięsem, a gdy zmierzch zapadł, wyjechałem lekkiemi saneczkami do lasów. Chłopiec trzymał w worku małego prosiaka, na długim zaś sznurze ciągnął się za sankami kawał mięsa w pękli grochowin zawiązany, który miał udawać biegnące prosię i służyć wilkom za przynętę. W różnych kierunkach skrzyżowałem drogi i mimo jasnej księżycowej nocy, nie spotkałem się z żadnem żyjącem stworzeniem. Ogarnęło mnie zniechęcenie kompletne, więc każę zawracać do domu, gdy mijając stojące przy szerokim gościńcu sterty siana, spostrzegłem masę zajęczych, świeżych śladów wokoło. Odesłałem więc sanie do wsi, sam zasiadłem w krzewie jałowca na czatach. Miałem widać jakiś pech dnia tego, gdyż nawet marnego zająca nie było i gdy już chciałem opuścić me stanowisko, zauważyłem na dalekim szlaku niewyraźnych kilka cieni, które wziąłem za powracających z miasta ludzi. Szli jakby gromadą, niekiedy rozdzielali się na grupy, często zatrzymywali się i wtedy dochodziły mnie niewyraźne jakieś głosy, jakby gryzących się psów. Zbliżają się wolno, lecz są już tak blisko, że przy jasnem świetle księżyca mogę ich rozpoznać. Widok gromady wilków zjeżył mi czuprynę i zimny dreszcz przebiegł mi po skórze. Dopiero teraz wspomniałem, że to czas wilczych zalotów i faza największego ich rozdrażnienia i zaciekłości. Są zaledwie 70 kroków odemnie, jest ich 9 sztuk. Na przodzie idzie suka z opuszczonym łbem ku ziemi, a podniesioną w górę kitą, za nią tuż ogromne wilczysko, widocznie pater familias, dalej cała kupa różnej wielkości kawalerów, pochód zaś zamyka trzymający się w przyzwoitej oddali niefortunny jakiś amant z przegryzioną nogą. Idą kupą, niekiedy śmiałek jakiś chce zbliżyć się do suki, lecz tu spotyka się z kłami pierwszego drużby, ten warknie na niego, ów odskakuje, wpada między towarzyszów, chwyta za kark pierwszego, potrząsa nim, krótką walkę przerywa inny, znów się gromadzą i idą spokojnie dalej. Mijając mnie, suka przysiada na chwilę, a każdy kawaler ma sobie za obowiązek zatrzymać się w tem miejscu, obwąchać jej ślady, przystanąć, podnieść nogę i iść dalej za nią. Słyszałem opowieści o niebezpieczeństwie zabicia takiej suki, za którą amanci się pomszczą, jak również poranienie kawalerów wywołuje zemstę suki, więc też z zatajonym oddechem przepuściłem bezkarnie rabusiów i po ich zniknięciu spiesznie poszedłem do domu. Dnia następnego pojechałem opatrzeć ślady wilcze, ale i moje mnie interesowały, lecz zawdzięczając silnej naturze mej, nic nie znalazłem, za co bym się potrzebował rumienić przed Sz. czytelnikiem.

W czasie długiego karnawału tego roku byłem zaproszony na taneczny wieczór w dalsze sąsiedztwo do pp.: Por. Ochocza zabawa w gronie licznego towarzystwa i hożych pań przewlokła się do późnej nocy, a mając do załatwienia nazajutrz ważne w domu czynności, musiałem powracać. Kuzynka pp. L., miłe, młode stworzonko, p. Marja, również śpieszyła się do domu, więc mimo oziębłych dotąd naszych stosunków, siedliśmy do wspólnych sanek i przy jasnem świetle księżycowej pełni i pięknej sannej drodze raźnie pomknęliśmy naprzód. Owinięci w ciepłe futra nie staraliśmy się zawiązać z sobą rozmowy, zresztą myśl była całkiem zajętą świeżo przeżytemi wrażeniami dzisiejszemi, i nie jedna para ócz czarnych, nie jedna piękna kibić stała mi przed oczami. Pod miasteczkiem Parysewem wjechaliśmy w bory, ciągnące się na kilkanaście wiorstw przed nami. Konie parskając raźnie szły ostrym kłusem, do czego zachęcał je jeszcze głos Dąbrosia i poświst jego bicza. Gdzieś w dali leśnej nagle odezwało się przeciągłe wycie wilka, na co mi zwrócił uwagę furman. Nie ujechaliśmy i stajania, gdy przed nami w zaroślach zaświeciło kilka par zielonych ślepiów zwierza. Zrzuciłem futro z prawego ramienia i wziąłem gotową do strzału fuzję do ręki. Konie zaczęły chrapać i niepokoić się, lecz przynaglone głosem i biczem Dąbrowskiego rwały naprzód. Zrównaliśmy się z czekającym nas zwierzem, który jednak nie śmiał wychylić się z lasu, biegł tylko w pewnem od drogi oddaleniu czas dłuższy. Zajęty wilkami i w oczekiwaniu ich ataku, ani zauważyłem zbliżenia się do mnie dumnej p. M. i dopiero po odstraszeniu strzałami wilków, poczułem jej ciepłą figurę koło siebie i obejmujące jej ramiona. Już dawno minęło wszelkie niebezpieczeństwo, dawno wilki pozostały daleko za nami w minionych lasach, a ja troskliwie cisnąłem do siebie drżącą postać wylękłej towarzyszki. Ustawiczne zataczanie się sań i ich raptowne a częste podskoki na wyboistych drogach nieraz zbliżały nasze twarze tak do siebie, iż usta nasze często się spotykały. Strach przełamał dumę i oziębłość mej towarzyszki i odtąd byliśmy zażyłymi przyjaciółmi czas długi.

Rok 1884/5. W roku tym objąłem w zarząd majątek Czarnostów w Pułtuskiem. Majątek ten, prócz ornej ziemi w dwóch folwarkach, posiadał najspanialsze, na całą okolicę lasy, był nimi jak wieńcem wokoło otoczony. Rewiry rozłożystych dębów, niebotycznych sosen, młodych zagajeń, posiadały w swem sercu masę niedostępnych moczarów, topielisk i bagien, które zapewniały spokój i pożywienie różnemu zwierzowi. Poznawszy te piękne knieje, nie mogłem zgodzić się ze zdaniem właściciela p G., że nie posiadają te okolice grubszej zwierzyny, nad zwykłego zająca i kuropatwę. W wolnych więc chwilach od zajęć, zabrałem się do szczegółowego przetrzęsienia rewirów, a każdy leśnik obowiązany był składać mi tygodniowy raport o zwierzostanie swego oddziału. Przytem prześladowałem rozkrzewione bardzo kłusownictwo. W przewidywaniu znalezienia grubej zwierzyny przypadkowo udało mi się kupić do mego ciężkiego nevfoundlera „Rabusia“, małego, zwykłego kundysa „Burczyka, bardzo zaciekłego. W celu zaprawienia ich do spodziewanych polowań dziczych, puszczałem czarne świnie do lasu i zaszczuwałem je mymi pieskami, co tak należycie pojęły, że samowolnie wybiegały na pastwisko, dusiły napotykane prosiaki, na zapłacenie których miesięczna moja pensja nie wystarczała. Gdy w końcu listopada spadły śniegi, odkryłem ślady w jednym z rewirów głębokich, tęgiego odyńca, o pojawieniu się którego w dni kilka zostałem upewniony. Otoczyłem tę część lasu szczególną troskliwością i dozorem, czego wynikiem było poja-

wienie się i zamieszkanie całej świńskiej rodziny z 6 sztuk złożonej. Urządzone na święta Bożego Narodzenia dzicze polowanie, zrobiło zupełne fiasco i odznaczyło się tylko wdrapaniem na pochyłe drzewo mego szwagra przed dzikiem, którego nie było naturalnie, mnie zaś naraziło na przycinki ze strony dziczych łowców, jak pana Dł. (i przyszłego mego teścia Urbanowskiego). Pan Dł. nawet pozwalał nazwać się durniem temu, kto w Czarnostowie dzika zabije. Nie czekał zbyt długo!

Mój pierwszy dzik 12/II. 1885.

Na zaręczyny jednej z powabnych cór pp. Gniazd. zjechało wiele gości. Byli młodzi, starzy, nie brakło i płci pięknej, więc się bawiono ochoczo, a gdy nasycono się tańcami, grą w karty i flirtem, cośmy na te czasy smaleniem cholewek zwali, młodzież zapragnęła popisów swą zręcznością i odwagą przed pięknemi paniami, zażądała polowań na „dzika“, jak mi przymawiano, „wątpliwego“. Dzień 12. lutego był mroźny, cichy, głębokie śniegi otulały knieję, gruba okiść gięła wiotkie gałęzie do ziemi. Przed szóstą głos trąbki myśliwskiej rozbudził myśliwych, którzy niebawem zebrali się w ciepłej, obszernej sali jadalnej, gdzie podążyły i piękne panie, świeże, rumiane, ciepłem łóżeczka jeszcze dyszące. Komnaty rozbrzmiewały wesołym gwarem i śmiechem, krzyżowały się czułe spojrzenia, lekkie westchnienia wyrywały się z wzniesionych piersi, ukradkiem niejedna uścisnęła się dłoń. Żartowano, dowcipkowano, życzono powodzeń swym wybranym, a ojciec właściciela majątku dawał swemu ulubieńcowi Damianowi wskazówki, ostrzegając przed strzałem do na sztych idącego zwierza, radząc strzał najlepszy pod łopatkę. Z brzaskiem poranka zajechało kilka sań przed ganek — trąbka oznajmiła „wsiadanego“ i każdy pośpieszył na wskazane miejsce. Stojące na ganku panie przesyłały ostatnie spojrzenia, powiew chusteczek, każda swemu.

Najniespodziewanej i w mą stronę padło spojrzenie ócz czarnych i powiew chusteczki niezapomniany.

W lesie oczekiwała nas rozłożona nagonka. Śpiesznie rozstawiłem myśliwych według ich wyglądu, sam z leśniczym zajęliśmy skrzydło Czysty głos metalicznej trąbki wdzięcznie rozpłynął się w kniei, echa odbiły go w sąsiednich lasach, poniosły w cichą dal, a gdy zamarły, uroczysta cisza zaległa w kniei, Między myśliwymi zapanował uroczysty nastrój – starsi stali spokojnie, młodzi wzrokiem szukali poza sobą pochyłych drzew, czy też pni wysokich. Gdzieś daleko od granicy odezwały się grzechotki naganiaczy i niebawem na linję wysunął się lisek, przebiegł chyłkiem do sąsiedniej kniei, za nim szarak w wesołych podskokach przeciął linję, pokazało się stadko sarn, kiwające na pożegnanie myśliwym białemi chusteczkami swych puszystych zadów, a dzików nie było widać.

Nie pomyślniej i w następnych powiodło się nam ostępach; spolowaliśmy najlepsze mioty, a o dzikach słychać nie było. Poczęło mnie ogarniać zwątpienie i niechęć do dalszych łowów — moi towarzysze drażnili mnie ironicznemi minami i docinkami. W południe przybyły panie ze śniadaniem, a ich obecność, gorący bigos i żytniówka starka, rozweseliły nasze chmurne czoła. W czasie śniadania posłałem po me pieski, a gdy je sprowadzono, puściłem je w spolowane już mioty, podejrzewając nagonkę o ominięcie największych gętswin i pozostawienie tam zwierza. Nie myliło mnie moje podejrzenie, gdyż psy, zaledwie zanurzyły się w gęste zarośla, podniosły alarmujące larum i z wrzaskiem pogoniły zwierza, Co chwila z innej strony dochodzą nas teraz ich głosy i gdy pisk Burczyka i basowy wtór Rabusia wyraźnie przed naszą linją słyszymy i lada chwila spodziewamy się ukazania się zwierza, wrzawa nagle urywa się i cisza męcząca znów zalega całą linję. Znów gdzieś w głębi kniei szczeknął Rabuś krótko, zapiszczał Burek przeciągle i zaczęła się na nowo gonitwa. Zaledwie już słabe słychać psie głosy, gdy nad granicą rozstawiona w klamrę nagonka, podnosi ogłuszającą wrzawę i zawraca zwierza napowrót do kniei. Teraz z każdą sekundą wzmaga się duet, gonią widocznie w naszą strouę, głosy psów coraz wyraźniej słyszę, słyszę już nawet ciężki bieg zwierza i trzask łamanych gałęzi i chrzęst zmarzłego śniegu pod jego ciężką stopą. Na kilkanaście sążni przedemną zatrzymał się na krótko, lecz naparty przez zaciekłe pieski, z hukiem i sapaniem ruszył znów naprzód. Serce stuknęło mi gwałtownie, zaszumiało w uszach i zaledwie opanowałem mą tremę, gdy z ciemnej gęstwiny świerkowej, wśród pyłu śnieżnego, czarna masa olbrzymiego zwierza runęła na mnie. Strzeliłem na kulawy sztych i zwierz w dymie zarył łbem w głębokim śniegu, przygniatając swym ciężarem Burczyka. Kula przeszyła klatkę piersiową na wylot, kładąc go trupem. W radośnem uniesieniu przyłożyłem mundsztuk trąbki do ust i dźwięcznym głosem ogłosiłem towarzyszom i światu o mym tryumfie. Ułożyliśmy 12 pudowego odyńca na saniach, zapalili pochodnie i ruszyliśmy do wsi. Odgłos trąbki wywabił zebrane we dworze towarzystwo na ganek, niejedno gorące serduszko zabiło gwałtownie w pięknej piersi, niejedno ślicznotko zapragnęło w swym wybranym ujrzeć dzisiejszego tryumfatora. Zawód przykry oczekiwał wszystkiich, ale, jak należało, grzeczne słówka posypały się w mą stronę i tylko z jednej pary ócz czarnych wyczytałem szczerość, za co też gorętszą od wszystkich złożyłem podziękę. W czasie obiadu zapytałem p. Dłuż.: jak się dziś czuje? — „bardzo głupio“! — mi odrzekł!

(C. d. n.)

WŁADYSŁAW JANKOWSKI.

Heco, heco, hedżgoha!

Pamiętniki charciarza.

Słowo wstępne. — Inwokacja. — O polowaniach z chartami. — Jakie mają być charty. — Jakie konie do polowania z chartami najlepsze. — Mój mistrz. — Ostatnim tchem zwycięzca. — Lisia kąpiel. — Lis bez psów sforsowany. — Niezwykłe skoki. — Nieudana próba sforsowania lisa. — Życzliwe rady Michała furmana. — Wodzirej weredyk. — Jeszcze jeden sforsowany zając. — Niezręczny dojeżdżacz. — Coś niecoś o moich chartach. — Duglaś Szejtan. — Piękna gałganka. — Kłapacze. — Pomoc dajcie mi rodacy. — Ciekawe polowanie. — Co się prócz lisów i zajęcy nam przydarzyło. — Polowanie zimowe. — Lepszy rydz, jak nic. — Spadam wraz z chartami mykicie na łeb. — Daremna praca, daremny trud. — Cierpliwość wynagrodzona. — Walka o rekord. — Kompromitacja Lasoty. — Mykita redivivus. — Głupie charty. — Przerwane zaloty. — Zagadkowy taniec lisa.

(Ciąg dalszy)

15. Duglas i Szejtan.

Miałem swego czasu smycz chartów, de nomine Duglas i Szejtan. Obaj po ojcu Dolocie Ochrymowieckim, wzięły wzrost, siłę i kudły, po matce Bireczce, sukienkę stalową i ogromną lotność. Oba jednak były jakieś niesamowite.

Duglas charci neurastenik, zawsze ponury, z podełba patrzący, lubiał milczkiem podejść i ukąsić nieznajomego. Na tereņ bardzo wybredny, lada niezakryta gruda zamarznięta wystarczyła, aby Duglas, nawet wśród najgorętszego gonu stanął, i polowania zaprzestał. Bywało, że się coś Duglasowi na polowaniu nie podobało. Spuszczony ze smyczy, ponuro spoglądając, nie reagował na żadne wołania, zawracał i sznurkiem do domu, pod żłób u Grenadyera w boksie, gdzie mieszkał i gdzie się urodził.

U brata jego Szejtana, to już stanowczo ne wsi buły doma. Przedewszystkiem szkodnik okrutny. Gargantua nienasycony. Ile to charcisko podusiło kur, kaczek, gęsi i indyków, a nawet i prosiąt, policzyć trudno, a wy żonaci charciarze, nawet tego ustępu Paniom swoim nie czytajcie. Dość powiedzieć, że tych ofiar Szejtana było dużo, bardzo dużo. Wszędzie go było pełno, wszędzie coś zbroić musiał. Tu kucharzowi ukradł dwanaście gotowych do smażenia sznycli, tam klucznicy potężną grudę masła złasował, owoc całodziennej pracy. Słowem, jak tylko usłyszałem na podwórzu brzydkie zaklęcie, potem głuche uderzenie i wrzask charta, to już nie pytałem, wiedziałem, że Szejtan znowu coś zmalował.

Siedzę raz w pokoju, czytając gazetę. Wchodzi ten szatan. Tak się tłumaczy jego imię, które po turecku znaczy szatan. Łasi się do mnie, więc go poklepałem po łbie i dalej czytam, nie zwracając na niego uwagi. Wtem słyszę huk jak ze strzelby, brzęk stłuczonego szkła, wrzask charta i cisza grobowa zaległa. Biegnę zobaczyć co się stało. Ciężkie, dębowe, parapetowe drzwi oszklone od werandy, leżą na ziemi, szyby całej w nich naturalnie ani jednej. Nikogo wtedy w domu nie było, tylko ja i Szejtan. Ja tego zrobić nie mogłem, bo gazetę czytałem, a rozdwajać się jak indyjskie Yogi nie umiem, Więc Szejtan?

A może ani ja, ani Szejtan, a „On“, ten którego przeklętego imienia żaden prawowierny nie wymówi Izraelita, ten którego imię mój chart niesamowity nosił?

Innym razem byłem na polowaniu w Medowie, u mego siostrzeńca Franciszka Milińskiego.

Po polowaniu siedliśmy do obiadu, podanego na wielkiej, ze wszech stron oszklonej werandzie. Mój Szejtan widzi przez okno, na stole rozmaite smakołyki, więc długo się nie namyślając, hop, przez dużą szybę do środka. Brzękło stłuczone szkło, powstał krzyk, zamięszanie, charcisko widzi, że się wybrało nie w porę, więc aby uniknąć batów, skacze wskos drugiej tafli, napowrót na dziedziniec.

A może kochani towarzysze, ten Szejtan to wcale nie był chart?

Cicho, sza, o takich rzeczach bezpieczniej jest nie mówić.

16. Piękna gałganka.

Chart staje się zdolnym do polowania, skoro osiągnie wiek około 10 do 12 miesięcy. Zależnie od swego fizycznego rozrostu.

Ten pierwszy jego występ, to pierwsze jego „pole“, jak się wyrażamy w gwarze charciarskiej, jest dla przyszłej karjery charta, decydujące.

Jakie chart w pierwszym polu okaże przymioty, takie zachowuje przez całe swoje życie. Zdarza się wprawdzie, że chart w pierwszem polu nieszczególny, wyrasta później na dobrego, nigdy jednakowoż pierwszej klasy, ale to są wyjątki, które jak wiemy, potwierdzają tylko regułę ogólną.

Czas trwania przymiotów charcich, wogóle jest krótki. Trzy do czterech lat, poczem szybko się starzeją i tracą szybkość.

Po tej zawodowej dysgressji, spowodowanej z mojej strony chęcią pouczenia was, młodzi adepci charciarskiego kunsztu, wracajmy do tematu tego obrazka.

Wspomniałem wam już, kochani towarzysze, jakom porwał z Krymidowa, Lalę obficie rodzącą, Birkę misterną i Dolota atletę. Lali potomstwo, było nie tylko liczne, ale i bardzo dobre, a dobroczynne losy tak zrządziły, że troskliwa matka, miała szczęście oglądać zalety dorosłych swych dzieci.

Niestety jednak, z jednego drzewa i krzyż i łopata.

Wyznajmy Lalo, przed naszymi czytelnikami, tę zgryzotę rodzinną. Wyznajmy ze skruchą, że nie wszystkie nasze dzieci, wyrosły na dobre charty. Była jedna ulubiona, faworytka nasza, kudłata, stalowa Lalka. Po ojcu Dolocie wzięła wzrost wyniosły, pierś potężną, po matce urocze kształty i imię Lali Pokładaliśmy w niej wielkie nadzieje. Wesołe to było i milutkie charciątko.

Lala w pierwszym polu zupełnie zawiodła nasze oczekiwania. Nie była lotna, nie była biercza. Co gorsza, nie miała wcale łowieckiego animuszu. Bawić się na podwórzu, uganiać za rówieśnikami, lub płochy drób prześladować, to i owszem. Ale wlec się o głodzie po całych dniach na smyczy, tego to Lala młoda nie lubiała. Gonić zaś Bóg wie po co głupiego szaraka, lub narażać piękną sukienkę na ostre zęby mykity brutala, Lali ani w głowie nie było. Tak wielką była nasza miłość do tego niedobrego dziecka, że jej to było wszystko darowane, że postanowiliśmy czekać. Może namyśli się inaczej, może nagle rozwiną się jej talenta i zajaśnieje Lala wszelkimi charcimi przymiotami.

Tak nadszedł czas zimowy, czas ostatecznego egzaminu.

Daleko, w szczerym Strusowskim stepie szczuliśmy lisa jednego, potem drugiego. Każdym razem Lala matka, Lali córeczce dawała, dobry przykład i wraz z ciotką Birką chwytały żółtych opryszków. Lali to nie było w głowie. Lassota krzyczy hedź go ha! a ona sobie dokoła sani karuzel urządza hulaszczy.

Byliśmy daleko od wszelkich sadyb ludzkich. Z ciężkim sercem wydałem wyrok okrutny. Przywiązał August Lalę do wierzby i pozostawiliśmy ją jej smutnemu losowi. Nigdy już o niej słuch do mnie nie doszedł. Wybrałem zaś ten sposób kary, na wieszanie nie mogąc się zdecydować. Może ją kto znalazł, a że była ładna, wziął sobie.

17. Kłapacze.

Do tej przezemnie tak znienawidzonej kategorji myśliwych, zaliczam fotografów amatorów, bo kłapią zatrzaskami swych aparatów, oraz tych myśliwych, którym na polowaniu buzia się nie zamyka i wciąż kłapią i kłapią.

To jest etymologia, stworzonego przezemnie wyrazu, którym to dźwięcznym słowem, niech mi niniejszem będzie wolno literaturę naszą wzbogacić. Ileż ja, jako wodzirej, z tymi kłapaczami miałem kłopotu. Tu czas jechać na polowanie, nie, stój, bo będzie się robić amatorskie zdjęcie. Dalejże zamiast w pole jechać, zamiast myśleć, gdzie za

prowadzić myśliwską drużynę, ustawiaj ludzi, konie, psy, rób przyjemną minę, przytrzymuj końskie ogony i charcie, aby się nie kiwały, bo popsują zdjęcie.

Wreszcie już swoje odkłapali, a widząc nachmurzone oblicze wodzireja, obiecują dać fotografię na pamiątkę razem spędzonych chwil. Po pierwsze zdjęcie zwykle nieudane, a po drugie i to było najczęściej, obiecali a nie dali.

Wyjeżdżamy za bramę, ustawiam szereg, zwracam uwagę, że dziś specjalnie w skupieniu ducha i wzroku szukać trzeba, bo nać kartoflana wysoka i gęsta, łatwo jest prześlepić zająca, lub co gorsza lisa. Ruszamy. Z początku rzeczywiście milczenie. Wiara szuka z zapałem, chcąc koniecznie zahecować zająca.

Lecz nie zawsze zwierzyna zaraz się znajdzie. Trzeba dwa i trzy razy nawrócić całym szeregiem. Czasem i godzina mija, a zająca jak nie ma tak nie ma. The glorious incertainty of the sport. Nowicjusze zaczynają się nudzić. Już odstępów równych nie trzymają, już równy dotąd szereg myśliwski zygzykowatą wlecze się linią. Tworzą się parki, zwykle płci odmiennej. Któryś zapałki zapomniał w domu. Pędzi galopem w poprzek szeregu, do pykającego towarzysza po ogień. A wszyscy kłapią i kłapią.

W tem z tyłu za szeregiem wyrywa się prześliczny zając. Przeczuwając coś podobnego, wodzirej bacznie się rozglądał. Dojrzał wymykającego się. Hedżgoha!

Co, gdzie, którędy poszedł, wołają zaskoczeni kłapacze. Robi się rejwach, zamięszanie, psy widząc w różne strony galopujących, tracą kierunek, jednem słowem klapa, a zając z drwiącym uśmieszkiem, wesoło omykiem kiwając, w nogi do lasu.

To się u starych charciarzy nazywało „spaskudzić“ lisa lub zająca i wtedy smycze były w robocie.

O kłapacze, kłapacze, ileście wy mnie krwi zepsuli, ile z waszej winy daremnych gonów.

(C. d. n.)



Łuć.

Łuć...

Zdaje mi się, że przynajmniej połowa czytelników „Łowca“ wie już, o kim mowa, bo sława Łucia szeroko płynie po wschodnio małopolskich kniejach.

Maleńki jest ten Łuć, niepokaźna, czarna, kudłata psina z siwiejącą mordką... ot, taki sobie kundysik, jakich setki widzi się na chłopskich podwórkach. Chciałoby się powiedzieć na jego widok: „Nie dałbym za niego ani złamanego centa“.

Ale gdy ktoś, w kim płynie szlachetna krew myśliwska, przejdzie się z Łuciem korczowskim po lesie, raptownie zmienia zdanie i nietylko nabiera do psiny sympatji, ale wprost uczucia niezwyczajnego podziwu.

Bo Łuć, to w pełnem znaczeniu myśliwy, doskonale orjentujący się w kniei, mądry, doświadczony i obrotny, przytem szalenie pewny siebie, a co zatem idzie, nie liczący się z obcem zdaniem i samodzielny.

Bo cóż mu dzisiejszy człowiek może powiedzieć o dzikach na czarnej stopie? Człowiek chciałby brać miot za miotem, próbując szczęścia na ślepo, opierając się na nabytem doświadczeniu i zawodnych zwykle kombinacjach. A Łuć uważa to za głupstwo, za próżne marnowanie czasu... i zarozumialec wysuwa się na czoło polowania i chce prowadzić. Gdy ludzcy towarzysze myśliwi zdecydują się iść posłusznie za nim, zadowolony idzie naprzód...

Gdy uważają się za mądrzejszych, szczególnie w obcym lesie, gdzie Łuć jest poraz pierwszy — więc ich zdaniem nie może znać terenu — pan Łuć opuszcza ich pogardliwie bez pożegnania... i idzie polować sam, na własną rękę. I śmieje się w duchu, że myśliwi biorą z całą pedanterją miot za miotem, pusty, jeden za drugim... On dziki znalazł rychło w odległych miotach i trzyma je na miejscu, szczekając zajadle.

Przyjdą myśliwi — dobrze, a nie przyjdą, to mu zupełnie obojętne. Wie tylko tyle, że dzika nie wypuści i do wieczora, a zechcą myśliwi pujść za jego głosem, to dzika dostaną z łatwością. I to u Łucia jest zdumiewające! Nie wejdzie on do pustego miotu, a tam, gdzie wejdzie, dziki są napewne. A pewność siebie i nonszalancja, z jaką Łuć traktuje ludzi, oraz nieznany sposób, w jaki on przytrzymuje dziki, wzbudzają zdumienie i zachwyt.

Próżnoby pytał Łucia, „kto go rodzi“? Bez sławnych przodków i protekcji wszedł wstępnym bojem w szeregi psiej „arystokracji“. Jakże blado wyglądają przy nim napuszone potomki „urodzonych“ dzikarzy.

Mieliśmy zaszczyt dzięki p. Kaplińskiemu, przed kilkunastu dniami podziwiać te wszystkie zalety Łucia w Siedliskach, w małem, myśliwskiem gronie. A że z ośmiu dzikow, które Łuć sobie wyszukał, tylko jeden śmierć poniósł — nie jego w tem wina, ale myśliwych.

Rawa ruska, w listopadzie, 1922. *A. R.*

Korespondencje.

Stanisławów, w listopadzie 1922.

W Horodnicy n. Zbruczem polowaliśmy w trzy strzelby z nagonką w dniach 9, 11 i 12 października, przy bardzo niesprzyjającej pogodzie; rozkład: sześćdziesiąt pięć słonek, 3 krogulce, 1 sokół drzemlik.

Józef Jabłonowski.

* * *

Kilka słów o tegorocznym zwierzostanie w b. Kongresówce i o racjonalnej ochronie zwierzyny.

Ze wszystkich stron b. Królestwa Kongresowego nadchodzą wieści o bardzo marnym zwierzostanie. Niepocieszające te wiadomości stwierdzić osobiście mogłem zarówno w z. Kaliskiej, tak i w Piotrkowskiem, gdzie często poluję. Szczególniej mało jest kuropatw, które tylko w niektórych miejscach, na większych terenach, jako tako ocalały; wogóle natomiast z przykrością skonstatować należy zastraszający wprost ubytek tej tak wiele przyjemności dającej myśliwemu zwierzyny. Katastrofalny stan ten dał impuls odnośnym władzom naszym do wydania ostatnio energicznych zarządzeń prawnych, pod postacią rozporządzenia o zakazie polowania na kuropatwy, co jest, rzecz prosta, zupełnie racjonalne i chwalebne. Nie mogę jednak w tym wypadku powstrzymać się od wypowiedzenia szczerego żalu, tak w imieniu mojem własnem, jak i ogółu prawdziwych myśliwych, Kolegów z pod sztandaru Ś-go Huberta, że równolegle do ograniczenia powyższego, t. j. zakazu legalnego polowania na kuropatwy, odnośne władze nie pomyślały dotąd o faktycznem źródle najbardzej wpływającem na stałe zmniejszanie się naszego zwierzostanu, t. j. o kłusowniczej pladze. Zaradzić temu można bardzo łatwo przez wydanie prawa przewidującego jaknajostrzejsze kary (więzienia do kilku miesięcy) za kłusownictwo pod wszelkiemi postaciami, t. j. zarówno nielegalne, jak i „legalne“. Tem ostatniem mianem nazywam kłusowników uprzywilejowanych, t. j. posiadających karty na broń i polowanie, niemniej jednak groźnych dla zwierzyny, polowanie wieczorem „na wychodne“, lub przed wschodem słońca na zające, czy sarny, t. j. w czasie kiedy zwierzyna, we wszystkich państwach kulturalnych naszego globu, korzysta z bezwzględnego spokoju i ochrony; strzelanie z sanek do kuropatw, czy zajęcy itp. itp. Nad tem odn. władze winny rozciągnąć baczny dozór i pieczę i poinformowane przez kogokolwiek o podobnego rodzaju nadużyciach, bądź ze strony legalnych,, czy nielegalnych kłusowników, powinny tym ostatnim raz na zawsze, prócz odn. wymiaru jaknajsurowszej kary, odpowiednio zmodyfikowanej, odbierać raz na zawsze prawo na broń i polowanie. A wszyscy kłusownicy nielegalni „minorum gentium“, obecnie bezkarnie grasują w ka-

żdej niemal wiosce, korzystając ze śmiesznie wprost małych kar (kilka tysięcy marek), stale i wytrwale uprawiając swój niecny proceder, dziesiątkują zwierzynę, łowiąc kuropatwy zimą na śniegu na sidła (oka z włosia), zające i sarny chwytając na wnyki-sidła z drutu, bądź też polując bez pardonu wieczorami i nocami. Faktycznie więc obecny, skądinąd bardzo chwalebny i pożądany, zakaz polowania legalnego na kuropatwy, jest tylko „de facto“ „paljatywem“ w konsekwencji ochraniającym zwierzynę przez prawdziwych myśliwych, celem wydania jej w następstwie na łup kłusownika wiejskiego, który pod ochroną niezmiernie małych kar będzie „con amore“ swoje złodziejskie rzemiosło uprawiał.

Powinniśmy w tym wypadku wziąć przykład z Francji, Belgji, Szwecji, Danji. Niemiec, gdzie nader surowy wymiar kary na kłusownika (więzienie) nadzwyczajnie sprzyja rozwojowi pomyślnemu zwierzostanu, dochodzącemu w pomienionych krajach, do kwitnących rezultatów, co z drugiej znów strony stanowi bardzo poważne źródło dochodu państwowego, zupełnie niestety u nas ignorowane.

Bez zaprzeczenia, niekiedy warunki atmosferyczne fatalnie wpływają na przyrost zwierzyny, ten rok jednak był pod tym względem zupełnie pomyślny i nie wątpię, że gdyby nie rozwielmożnione u nas kłusownictwo pod wszelkiemi postaciami, mielibyśmy napewno zwierzostan stokroć lepszy.

Należy mi tu jeszcze wspomnieć mimochodem o sprzymierzeńcach naszych kmieci-kłusowników, psach, których moc samopas włóczy się po polach w każdej porze roku. Lecz i tu niestety nasze władze nie uważały dotąd za stosowne wydać odn. surowe rozporządzenie, poparte ostremi karami za niewiązanie kundli podwórzowych, tych polnych rabusiów zwierzyny, które nieobliczalne wprost spustoszenia wśród zwierzyny robią. Dziś każdy chłop czy chłopak pasący krowy, baba idąca w pole, pastuch, czy gospodarz uprawiający rolę, poczytuje sobie za obowiązek brać z sobą w pole podwórzowego kundla I czyni to zupełnie bezkarnie.

Sądzę, że grono zorganizowanych p r a w d z i w y c h myśliwych mających pewne wpływy u władz miarodajnych, winno bezzwłocznie i e n e r g i c z n i e zająć się wystosowaniem do władz petycji zbiorowej, popartej odn. argumentami, w której przedstawiając wszystkie powyższe fakty i dezyderaty, gwoli podniesienia naszego opłakanego zwierzostanu, mogącego zapewnić bez wątpienia państwu naszemu poważny dochód, należy domagać się jaknajszybszego wprowadzenia j a k n a j s u r o w s z y c h kar na kłusowników.

Nie wątpię, że jest to j e d y n y r a d y k a l n y środek za pobieżenia złemu, projekt więc niniejszy tuszę, znajdzie uznanie i aprobatę wśród wszystkich tych p r a w d z i w y c h Kolegów-Myśliwych, którym sprawa naszej zwierzyny szczerze leży na sercu.

Miłoby mi bardzo było, gdyby Sz. Koledzy-Myśliwi raczyli w następnych numerach „Łowca“ wypowiedzieć się w powyższej, tak bardzo naglącej i ważnej sprawie.

Stefan Ostrowski.

* * *

Przemyśl, w listopadzie, 1922.

Nie mogę sobie odmówić, byn nie podzielił się z szerszem gronem myśliwych poniżej opisanemi faktami.

Gmina Pantalowice w powiecie przeworskim obejmuje wraz z folwarkami dworskimi mniejwięcej 1500 mg. obszaru. Przed wojną polowanie na terenie tej gminy wydzierżawiane bywały stale przez właścicieli obszaru dworskiego za kwotą nie dochodzącą stu koron. — A dzięki całemu szeregowi lat ścisłej opieki i hodowli łowieckiej, jak niemniej pomyślnym lokalnym i sąsiedzkim warunkom, cieszyły się Pantalowice przed wojną mimo zupełnego braku lasu wcale pokaźnym zwierzostanem. — Zając był gęsty, kuropatw więcej, jak dużo, trochę lisów, a w każdym większym łanie zboża przybywało po kilka lub kilkanaście sarn, które w czasie rui wyprawiały na obszernych tutejszych łąkach istne karuzele.

Polowano w kociołki raz tylko do roku, opolowując najwyżej połowę podanej wyżej przestrzeni z rezultatem 120 do 150-ciu zajęcy a prócz tego w właściwych porach padało sporo kuropatw i corocznie po kilka podjazdowych rogaczy.

Przyszła wielka wojna. — Sarny znikły zupełnie, zające w 3/4, a w ostatnich latach wyginęły na jakąś epidemję doszczętnie kuropatwy. lisy w tym samym stopniu skutkiem świerzbu i cenności swej koszulki a wreszcie w najświeższej przeszłości poszły tą samą drogą i resztki zajęcy, ulegając pociskom wszelkiego rodzaju broni dzierżonej „suwerenną“ ręką.

Na rojnych niegdyś zwierzyną niwach zapanowała prawie absolutna pustka. boć trudno nazwać zwierzostanem te najwyżej 30 lub 40 dziś jeszcze na tych obszarach żyjących a codziennie ostrzeliwanych zajęcy przez znacznie liczniejszy od siebie zastęp kłusowników.

I teraz następuje najciekawsza sprawa.

Zdawałoby się, że tak wypustoszony rewir nie może być ponętnym dla nikogo, prócz dla hodowcy, którzyby wielkimi wkładami i długotrwałą abstynencją łowiecką zamierzał w tej pustce wskrzesić dawne wspomnienia — zdawało się, że przy odnawianiu licytacyjnem dzierżawy niespotka taki altruistyczny amator chyba zbytniej konkurencji. I znalazł się rzeczywiście taki amator i wypędzono go na przed kilku dniami odbytej licytacji gminnego prawa polowania do kwoty 708.000 Mk. piszę wyraźnie: siedmset ośm tysięcy marek rocznie! A wypędzili go tak wysoko nie równie mu usposobieni hodowcy, lecz pracowici i oszczędni miejscowi rolnicy mało i bezrolni uginający się pod ciężarem drożyzny i świadczeń na rzecz państwa a przecież przelicytowujący w „pańskości“ gestu wszystko co było u nas najbardziej „pańskiego“.

Nie przesądzam dalszych kolei tej sprawy — nie wiem czy licytacyjny zwycięzca zamierza rzeczywiście utrzymać się przy tak nieproporcjonalnie drogo okupionem prawie polowania, ale notuję sam fakt jako memento dla tych, którzyby zamierzali równie jak wyżej wspomniany myśliwy zamarzyć o odbudowie zniszcznego łowiectwa. — Zwracam uwagę na okoliczność, że walka o tę już zupełnie bzwartościową kość, nie toczyła się między jakimiś potentatami finansowymi lub zamiłowanymi hodowcami myśliwymi, lecz że zażarcie zwalczali się włościanie, których stosunki finansowe i kwalifikacje łowieckie najzupełniej do podobnych eksperymentów nie uprawiają.

Wobec takich stosunków i możliwości powtórzenia się ich w niedającej się przewidzieć ilości wypadków, zwątpić można w możliwość odbudowy łowiectwa, które prosperować może tylko w silnej i fachowej dłoni myśliwego hodowcy.

Zadaniem naszem, jak niemniej władz kompetentnych byłoby ułatwić drogę do tego włącznie tylko hodowcom, umożliwiając im uzyskanie prawa polowania po cenach stosunkowych do wartości i poparcie ich wszelkiemi sposobami w zbożnych chęciach odbudowy jednej z nie najmniej ważnych gałęzi gospodarstwa krajowego.

A. Przydrzymirski.

* * *

Rawa, listopad 1922.

Wulka mazowiecka znana jest szeroko ze swoich słomek. Wiosenne ciągi dają tam myśliwym niewysłowione roskosze. Na jesiennych przelotach może wprawny strzelec zdobyć liczne trofea.

W dniu 14. X. b. r. polowaliśmy tam dzięki uprzejmej gościnności p. R. P. w trzy strzelby z nagonką. Rezultat 6 słomek, ale widzieliśmy ich w kilku miotach blisko 30.

Cechą wuleckiej kniei są słomki lęgowe, które w wielkiej ilości widziałem ciągnące późnym wieczorem, w lipcu.

Zajęcze polowania jeszcze się nie rozpoczęły w naszym powiecie. Ale zajęcy tak mało, że byłoby wskazanem je oszczędzać, a natomiast zabrać się energicznie do tępienia kłusownictwa, oraz czworonożnych i skrzydlatych szkodników.

Dziki tego roku występują w małej ilości, może powrócą w czasie huczki. *A. R.*

* * *

Przemyśl, grudzień 1922.

Z Turzy wielkiej.

Pod świeżem wrażeniem łowów odbytych w Turzy wielkiej pospieszam podzielić się z czytelnikami „Łowca“ wspo-

mnienami wielkich łowów, które przez sześciodniowy okres prowadziło grono szczęśliwych uczestników od zwycięstwa do zwycięstwa wśród wspaniałej scenerji borów Turzy wielkiej i Rachinia.

Pod fachowem i sprężystem kierownictwem prezesa i łowczego myśliwskiego Towarzystwa Turza wielka p. Henryka Preka, odbyły się te łowy w dniach od 11 do 16 grudnia br. włącznie. Polowano w 7 do 10 strzelb z psami i pogonką, biorąc dziennie przeciętnie 3 mioty. W ostatnim dniu znalazło się na rozkładzie 4 odyńce 1 wycinek 7 loch 2 przelatki 18 warchlaków **razem 32 dziki**!

Do innej zwierzyny nie strzelano z wyjątkiem dwóch zajęcy, które padły od kul dwóch Pań uczestniczących w tych łowach, służąc za dowód celności ich oka i broni.

Przewspaniały ten wynik, przechodzący, wszelkie najśmielsze preliminarze zdobyto w ledwie 17-stu miotach. Nietkniętymi zostało jeszcze około 200 miotów wchodzących w skład rewirów dzierżawionych przez Towarzystwo „Turza wielka". Prócz umiejętnego zarządzenia przebiegiem łowów sprawowanego przez p. Henryka Preka, zawdzięczyć należy ten wynik także energicznej i stałej opiece, jaką otacza te knieje tamtejszy rządowy lustrator lasów pan radca A. Groetschel walcząc niezmordowanie z kłusownictwem i służąc myśliwskiemu gronu wszelką możliwą pomocą.

Niemała też część uznania należy się trójce wędrownych artystów przybyłych na gościnne występy do Turzy a złożonej z Mucka, Łucia i Bobka, trzech piesków ważących razem najwyżej 20 kg. a przed których muzycznemi produkcjami wyjeżdżały z największych gąszczów najupartsze odyńce a stada szły w rozsypkę obdarzając spotkaniami licznych łowców.

Jednak wśród powodzeń zdarzają się i mniej szczęśliwe chwile. N. p. Łowczy p. Prek miał ten wybitny pech, że strzelając do jedenastu dzików zabił tylko 10.

To jednak zapomnianem zostało pod wrażeniem rekordu zdobytego przez drugiego uczestnika łowów, który mimo rozkładu 32 dzików na 52 strzelanych opuścił knieję z czystemi lufami, lecz z najweselszą miną.

Celowy przebieg polowania, gon psów i dźwięki trąbek, gęsta palba i wspaniały rozkład, jak nie mniej miłe wieczory beztroskie w pawilonie myśliwskim w Turzy, złożyły się razem na całość przenoszącą nas w dawno zapomniane czasy, gdzie wolno było nam być rzeczywiście łowcami a nie jak dziś gonioną zwierzyną, nie czującą się nigdzie u „siebie" nawet na własnym zagonie. Za to kilkodniowe oderwanie się od smutnych dzisiejszych refleksji za ten kawałek przeszłości odczutej wśród serdecznych ram Towarzystwa „Turza wielka" wyrażam tu w imieniu zaproszonych gości szczerą podziękę i wołam cześć świętemu Hubertowi — Cześć „Turzy wielkiej". *A. P.*

Numeracja śrutu.

Zarząd sklepu „Army" prosi nas o umieszczenie następującej notatki: Chcąc ujednostajnić numerację śrutu, wprowadzamy w naszym magazynie angielską, według której będziemy znaczyć nasze naboje śrutowe i sprzedawać śrut. Poniżej podana tabelka, wykazuje sposób tej numeracji według objętości śrucin w milmetrach i odpowiadające im cyfry dawnej numeracji austrjackiej.

Numer angiel.	Numer austr.	mm.
0	4	4¼
1	5	4
2	6	3¾
3	7	3½
4	8	3¼
5	9	3
6	10	2¾
7	11	2½
8	12	2¼



Sprawy Towarzystwa.

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału w dniu 18. grudnia 1922.

Przewodniczy Prezes Juliusz hr. Bielski, obecni wicepr. Albert Mniszek, człon. Wydziału Jędrzejowicz, Dr. Kalm-Podoski, inż. Kamienobrodzki, Dr. Małaczyński, pułk. Marjański, Pieńczykowski, Dr. Sander, Streer.

Przy sprawozdaniu kasowem wzięto jeszcze raz pod rozwagę wyrażone z kilku stron życzenia, by Łowca wydawać dwa razy na miesiąc, a po dyskusji stwierdzono, że jest to w obecnych warunkach, mimo wydatnego podwyższenia wkładki niemożliwem, koszta bowiem każdego nakładu są bardzo znaczne, a rosną one przy każdym nowym nakładzie.

Postanowiono przyjąć propozycję „Army" lwowskich warsztatów broni i przenieść biuro Towarzystwa do realności przy ul. Lindego l. 9. gdzie „Arma" otwierając w połowie grudnia b. r. sklep z bronią i amunicją, życzliwie ofiarowała Towarzystwu ze zajętego przez się lokalu jeden pokój, za nieuciążliwym ze strony Towarzystwa ekwiwalentem. Przeniesienie biura nastąpi w pierwszych dniach stycznia 1923 r.

W poczet członków przyjęto:

Dr. Mieczysława Andruszewskiego, Dr. Rudolfa Breitera, Zbigniewa Czerkawskiego, Józefa Czernika, Kaliksta Dembińskiego, I. M. Dropiowskiego, Czesława Domaszewicza, Władysława Glazora, Piotra Gorgolę, Władysława Grzegorzewicza, Józefa Hallera, Gen. Władysława Jędrzejewskiego, Marjana Jüngsta, Kółko myśl. oficerów 12. p. a. p. w Złoczowie, Władysława Loeglera, Dr. Adama Majewskiego, Mieczysława Majewskiego, Adama hr. Męcińskiego, Antoniego Niżnika, Tadeusza Obmińskiego, Antoniego Podłowskiego, inż. Rudolfa Polta, Artura hr. Potockiego, Wincentego Stapińskiego, Felicjana Sterbę, Leona Szerauca, Marjana Szuberta, inż. Stefana Szybalskiego, Antoniego Tabora, Eustachego Turzańskiego, inż. Władysława Wajdowskiego, Jana Wesołowskiego, Jerzego Wolskiego, Jerzego Wyroda i Dr. Tadeusza Walichiewicza.

Dalsze zgłoszenia w toku informacji u delegatów.

Załatwiono kilka opinji łowieckich według referatu czł. Wydziału Streera. Następne posiedzenie postanowiono odbyć w pierszych dniach lutego, nie ustalając na razie dokładniejszego terminu.

OD WYDZIAŁU i REDAKCJI!

Niektórzy członkowie Towarzystwa przysłali nam prócz wkładki członkoskiej na I-szy kwartał nadto kwotę 2.000 Mp. na prenumeratę „Łowca", a to mimo uwagi wyraźnej w ostatnim numerze „Łowca, że **członek Towarzystwa opłaca tylko wkładkę,** w której się już mieści opłata za „Łowca", zaś **ceny prenumeraty umieszczane w nagłówku każdego numeru dotyczą tylko prenumeratorów nie będących członkami Towarzystwa.** Przesłane w ten sposób kwoty wpisaliśmy w poczet wkładki na II-gi kwartał.

Członków Towarzystwa prosimy usilnie by wkładkę członkoską za Iszy kwartał wpłacili w ciągu stycznia, gdyż nieuiszczającym się w tym miesiącu **będziemy zmuszeni „Łowca" już w lutym wstrzymać.**

Dobrowolną daninę mźsliwską złożyli w dalszym ciągu: Marjan Turowski 2000, Stanisław Orzechowski 2.000, Tadeusz Kanigowski 16.800, Stanisław Gabryszewski 5.000, Stefan Firlej 10.000, Roman Malicki 2.000, Jan Chwalibóg 2.000, Dr. Stanisław Cisek 2 000, Leon Ogłaza 2.000, Stefan Pallas 1.000, Henryk Wospil 3.000, Jan Ołeksów 2.000, Florjan Hackbeil 5.000, Aleksander Brosławski 1.000, Wacław Walter 2.000, August hr. Krasicki 10.000, Józef Chyżewski 1.500, Władysław Żurowski 3,000, Władysław Hubicki 5.000, Władysław Mołodyński 1 000, Antoni Agopsowicz 2.500, Stanisław Łazarewicz 5.000, Tadeusz Görtz 2.000, Władysław hr. Wolański 5.000, Adam Remiszewski 5.000, Kazimierz Remiszewski 5.000, Stanisław Leo 2.000, Karol Szerauc 3.000, Leon Szerauc 2.000, Roman Szerauc 1.000, Stefan Szerauc 1.000. Leopold Szerauc 5.000. Władysław Hubicki (powtórnie) 3.000, Stanisław Pocałuń 2.000, Ludwik Miąsik 5 000, Władysław Sołtys 2.500, Ludwik Kępiński 1.500, Jan Gołąbiowski 2.000, Wiktor Dzięciołowski 2.000, Tadeusz Michałowski 1.000, Adam hr. Potocki 20.000, Łucjan Bochenek 1.000, Stefan Myczkowski (po raz 4-ty) 1.000, Wojciech Kossak 1.000, Hilary hr. Bniński 5.000, Konstanty Sadowski 5 000, Tadeusz br. Lipowski 2.000, Zygmunt hr. Zamojski 5.000, Mikołaj Podlewski 1.000, Dr. Edmund Majewicz 5.000, Artur hr. Potocki 5.000, Józef Haller 10.000, Mieczysław Beil 2.000, Stanisław Hawrott 10.000, Adam Madeyski 1 000. Aleksander Bladie 2.000, Franciszek Kern 10.000, Inż Juliusz Rotkehl 5.000, Karol Handel 3.000, Józef Whiskin 10.000, Józef Głuszko 10.000, Konstantw Kowalczyk 5.000, Marjan Orłoś 5.000, Leopold Rzerzycha 2.000, Kazimierz Wierzbowski 3.000, Jan Kowalik 1.000, Władysław Peszkowski 5.000, Stanisław Korosadowicz 1.000, Stanisław-Barabasz 1.000, Janusz Domaniewski 3.000, Stanisław Jaśkiewicz 3.000, Józef Noworytko 2.700, Dr. Zygmunt Lewicki 1.600' Rudolf Schmidt 5.000, Juljusz Ujejski 5 000, Justyn hr. Łoś 5 000' Stanisław hr. Łoś 5.000, Franciszek Stupnicki 2 000, Stefan Gostomski 10.000, Tow. myśl. św. Huberta we Lwowie 50.000, Bronisław Kwitniowski 3.000, Kazimierz Przybysławski 10.000, Stanisław Żukowski 5.000, Stanisław Lambert 10.000, Stanisław hr. Siemieński-Lewicki 50 000, Rajmund Jarosz 10.000, Władysław Florjan Komornicki 5 000, Tadeusz Romanowski 5.000, Bohdan Cywiński 5.000, Stanisław Kurnatowski 10.000, Hugon Herczka 10.000, Zygmunt Herczka (ponownie) 10.000, Leopold Herczka (ponownie) 5.000, Rudolf Herczka (ponownie) 5.000, Zenon Stanisław Herczka 3.000, Widołd Herczka 2.000, Stanisław Konopka 5.000, Antoni Szostkiewicz 10.000, Kazimierz Łopacki 2.000, Jan Klewski 5.000, Władysław hr. Wolański (powtórnie) 5.000, Tadeusz Galiński 1.000, Paweł Wiktor 5.000, Ludwik hr. Koziebrodzki 5.000, Jan Bogdański 2.000, Zofja Myczkowska 1.000, Kalikst Dembiński 5.000, Józef Morawski 5.000, Stanisław Ochanowicz 2.000, Bolesław Bajorski 5.000, Aleksander Sękowski 5.000, Wincenty Grabowski 2.000, Ludwik hr. Rey 5.000, Roman Schmidt 1.000, Franciszek Kolb 3.000, Ottokar Klominek 1.000, Stanisław Kielski 5.000, Stefan Dunikowski 2.000, Józef Stary 5.000, Dr. Józef Ausobsky 2.000, Ignacy Ausobsky 1.000, Aleksanddr Kępiński 2.000, Kółko Łow. Brody 5.000, Dr. Zdzisław Nałęcz Łęcki 5.000, Jan Brandt 1.000, Stefan Brandt 2.000, Władysław Tyszkiewicz 5.000, Xawery hr. Krasicki 5.000, Alfred Preisner 5.000, Jan Plocek 1.500, Antoni Lisowski 2.000, Antoni Łepkowski 5.000, Edmund Mysłakowski 5.000, Leopold Kholl 10.000, Paweł Kocko 1.000, Władysław Dobrzański 2.000, Dr. Stanisław Sozański 5.000, Włodzimierz Świstuń 2.000, Kazimierz Wacek 2.000, Inż. Zygmunt Skałecki 3.000, Dr. Bronisław Majewski 5.000 Władysław Pawłowski 3.000, Inż. Kazimierz Obertyński 2.000, Antoni Klimowicz 5.000, Hieronim hr. Tarnowski 10.000, Aleksander Biederman 3 000, Włodzimierz Jełowicki 5.000, M. Adamowski 3 000, Władysław Jankowski 1.000, Józef Sosnowski 1.000, Marjan Schüler 5.000, Władysław Kłosowski 1.000, Ludwik Salamon 1 000, Stanisław Jaugustyn 2.000, Aleksander Balázs 5.000, Walerjan Seile 3.000, Kazimierz Agopsowicz 10.000, Józef Śmiałowski 2.000, Wojciech Kula 2.000, razem 722.600., co doliczywszy do wykazanych w N-rze 12/22 2,245.240., otrzymujemy kwotę 2,969.840 Mkp., jako dotychczasowy wynik dobrowolnej daniny myśliwskiej.

W pierwszych dniach stycznia biuro Towarzystwa przeniesione zostanie do nowego lokalu przy ul. Lindego l. 9. — parter.

Nowy ten lokal uzyskaliśmy na podstawie umowy z „Armą", która w tem miejscu sklep z bronią myśliwską i amunicją już otworzyła. Wejście do naszego biura nie przez sklep, lecz przez bramę na prawo Żywimy nadzieję, że ta symbioza tak „Armie" jak i Towarzystwu wyjdzie na pożytek, bo prawdopodobnie nikt z myśliwych, członków M. T. Ł załatwiając zakupy w sklepie „Army", nie pominie sposobności wstąpienia także do Towarzystwa, celem załatwienia bądź interesów z Towarzystwem bądź utrzymania z nami kontaktu, który z nowymi członkami zawsze i wszędzie utrzymać się staraliśmy i staramy.

* * *

Komunikat.

Walne zebranie członków „C. O. K." odbędzie się dnia 18. stycznia 1923 r. o godz. 4-tej popoł. na czerwonej sali Domu Królowej Jadwigi Aleje Marcinkowskiego Nr. 1.

Prosi się członków i zwolenników o liczne przybycie dla omówienia ważnych spraw i zmiany ustaw.

„Centralny Oddział Kinologiczny".

Adres: Poznań, ul. 27. Grudnia 7. III.

†

Dr. Władysław Piaskiewicz

lekarz w Kołomyi, długoletni członek M. T. Ł., zapalony myśliwy, dla niezwykłych zalet serca powszechnie żałowany, zmarł w pierwszych dniach listopada 1922.

Cześć pamięci zacnego Obywatela i Towarzysza.

†

Roman Kamiński

dzierżawca dóbr Kłodno koło Żołtaniec, członek M. T. Ł., zmarł tamże w październiku 1922 r.

Cześć pamięci Towarzysza.

Sprostowania i uzupełnienia.

W numerze 12-tym w artykule p. Gürtlera „Z wycieczki do Białowieży" wkradły się błędy drukarskie, które niniejszem prostujemy.

Na stronie 2, wiersz 24 z góry ma być:... płaskowzgórze, położone na głównym dziale wód...

Na stronie 2, wiersz 27 z góry ma być:... źródła jej biją na wschodnim krańcu puszczy...

Na stronie 2, wiersz 4 od dołu ma być:... ma koronę w słońcu..

Na stronie 3, wiersz 13 z góry, ma być:... który mi otworzył drzwi do muzeum, nie umiał...

W tym samym numerze Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału uzupełnia się tem, że zamianowany też został delegatem Władysław Prus Wiśniowski w powiecie żydaczowskim a prostuje się, że w poczet członków przyjętym został Aleksander Sękowski (nie Seńkowski).

W N-rze IX./22 w Sprawozdaniu z posiedzenia Wydziału prostuje się, że w poczet członków przyjętym został Kazimierz Sielicki (nie Siedlecki).

Po zamknięciu numeru.

W ostatniej chwili otrzymało Prezydjum M. T. Ł. alarmującą wiadomość, iż Zarządy okręgowe dóbr państwowych zwróciły się do dzierżawców polowań w lasach i dobrach państwowych z propozycją „uregulowania", a w gruncie rzeczy tak

niesłychanego podniesienia czynszów dzierżawnych i to jeszcze w ciągu trwania obecnego stosunku dzierżawnego, iż to musiałoby się odbić fatalnie na kulturze łowieckiej, zmusiłoby bowiem wielu dzierżawców do zrzucenia się z dzierżaw rewirów szczególnie górskich, trzymanych dziś właściwie „na przyszłość“ t. j. w nadziei dochowania się w nich kiedyś zwierzyny, dziś tam nie istniejącej.

Prezydjum uważa za swój obowiązek w sprawie tej podjąć jak najenergiczniejszą akcję i będzie w niej między innemi w najbliższych dniach interweniować osobiście w Ministerstwie rolnictwa i dóbr państwowych w Warszawie.

Chcąc dzierżawców polowań w lasach i dobrach państwowych uwiadomić o wyniku tych swych kroków, a ewentualnie obmyśleć z nimi dalszą akcję, **zaprasza niniejszem Prezydjum M. T. Ł. wszystkich dzierżawców polowań rządowych do zebrania się w dniu 12 stycznia 1923 o godzinie 4 popołudniu w lokalu (nowym) Towarzystwa przy ul. Lindego l. 9,** a to także tych, których osobne zaproszenie kartką pocztową z jakiejkolwiek przyczyny dojść by nie miało.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, Zimorowicza 14. — Tel. 740.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.